

Znowu

Pomysł Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego, aby powołać resortową komisję do pilnowania i zapewniania wolności słowa w szkołach wyższych, przypominał mi niegdysiejsze (nie tak dawne) rozważania na temat panującej tendencji do kodyfikowania wszelkich możliwych zachowań ludzkich we wszelkich możliwych sytuacjach.

Mam niejaki doświadczenie z działań w Radzie Etyki Mediów i w Komitecie Etyki w Nauce przy Wydziale I PAN, pozwalające zdawać sobie sprawę z tego, jak nikłe są ich owoce, a w każdym razie jak długo (ewentualnie) dojrzewają. W tym przypadku nie to jednak wywołuje sceptycyzm.

Wolność słowa jest jednym z podstawowych standardów kulturowych i w krajach cywilizowanych bywa chroniona prawem, ale także obyczajem oczywistym dla uczestników życia zbiorowego. Zdarza się, że bywa nadużywana, wtedy sprawcy są, w przewidziany prawem i obyczajem sposób, karani.

Wolność słowa w instytucjach akademickich, szczególnie na uczelniach, ma zrozumiałe dla wszystkich (zdawałoby się) granice. Wyznacza je uznana aktualnie prawda o świecie i podstawowe reguły rozumowania, właściwe dla dyskursu naukowego. To nie znaczy, oczywiście, że nie ma tam miejsca dla sporów o hipotezy, oryginalne pomysły, niegotowe koncepcje. Jednak kiedy idziemy na uniwersytet, posłuchać czyjegoś referatu, ufamy, że nie zaserwują nam głupstw, że dowiemy się czegoś, być może, niezrozumiałego dla nas, ale mającego wiarygodny związek z dociekaniem jak jest, opartym na obowiązujących aktualnie rozumowych przesłankach.

Przypominałam truizmy, dlatego że zapowiedź urzędowej obrony wolności słowa w środowisku akademickim, wobec bardzo spolaryzowanych – również w tym środowisku, poglądów na sprawy zasadnicze, budzi obawy, by nie stała się bronią (nawet słabą, taka broń byłaby niebezpieczna) w walce ideologicznej.

Uniwersytet cieszy się autorytetem w społeczeństwie, niezależnie od badań wskazujących, że ten autorytet ostatnio spada. Głos wychodzący z uniwersytetu jest traktowany jako mówiący prawdę, choć autorzy wypowiedzi tego nie podkreślają, nawet nie konstatują. Przywykliśmy z tym głosem się liczyć, także gdy budzi sprzeciw, gdy oburza. Można mierzyć poziom tego zaufania, ale na pewno trzeba się z nim liczyć.

Dlatego nie należy się na uniwersytecie wolność słowa np. antyszczepionkowcom czy wyznawcom płaskiej Ziemi. Nie może z wyższej uczelni szerzyć się głupstwo, wzmacniane jej autorytetem. Sprzeciw wobec tego wydaje się bezdyskusyjny.

Wolność słowa rozważana jest, i zazwyczaj broniona, zwłaszcza wtedy gdy dotyczy sporów ideowych. Zakaz skrajności w tym względzie (poglądy rasistowskie...) reguluje prawo.

Zastanawiam się, czy są takie tematy, których na uniwersytecie nie należałoby poruszać. Myślę, że zupełnie wyjątkowo może się zdarzyć potrzeba rezygnacji z jakiejś dyskusji, spowodowana aktualnym konfliktem politycznym, nierównowagą intelektualną stron, zatem przejściowa. Przykładem hipotetycznym niech będzie sprawa importu z kraju, z którym stosunki mamy akurat napięte. W takiej sytuacji ogłoszona konkluzja debaty

może wpływać destrukcyjnie na nastawienia społeczne. Przypomina się dawna sprawa wyników badań amerykańskich z użyciem testu IQ, które przyniosły wynik deprecjonujący czarnoskórych. Wyjaśniło się później, że autorzy testów oparli się na kryteriach zaczerpniętych z kultury angloamerykańskiej (najprościej rzecz ujmując), nie to jednak było głównym przedmiotem dyskusji, lecz pytanie, czy wyniki tych badań należało publikować w czasie zaostrożonej walki o prawa Afroamerykanów.

Pomysł urzędowej obrony wolności słowa wziął się z sygnałów o krępowaniu wypowiedzi współbrzmiących z nauką Kościoła w kwestii rodziny. Trudno sobie wyobrazić, by taki temat nie poddawał się akademickiej dyskusji, ale wiadomo, że wywołuje (raczej poza uniwersytem) pochopne generalizacje, pomówienia i epitety, a na drugim biegunie eufemizmy, dwuznaczne i rozmyte określenia, uniki.

Niepodobna omijać takich kwestii w uniwersyteckiej dyspacie i także w dydaktyce, skoro zapełniają internet i obecne są w mediach tradycyjnych. Muszą jednak być omawiane na wyższym piętrem kultury komunikacji, żeby użyć popularnego terminu. Każdy uczestnik dysputy, każdej zresztą, jeśli pragnie przekonać pozostałych, ujawnia wyczerpująco swoje poglądy, a przynajmniej swoje stanowisko w omawianej sprawie. To pożytecznie redukuje pochody demaskatorskie – z korzyścią także dla klarowności wymiany zdań.

Wolność słowa na uniwersytecie funkcjonuje zawsze niejako na tle uniwersyteckiej godności, jakkolwiek byłaby rozumiana lub tylko odczuwana. Zawsze także jest wsparta autorytetem miejsca, kojarzonego z formułowaniem prawd dotyczących otaczającego świata. Najprościej: jeśli coś wy dyskutowano na uniwersytecie, jesteśmy bardziej skłonni uznać to za prawdę, niż gdy to przeczytamy w gazecie. Dlatego trzeba baczyć, by nikt tam wolności słowa nie nadużywał.

Strażnikiem, jeśli rzeczywiście go potrzeba, może jednak być tylko sama uniwersytecka społeczność; i są przecież ciała z tej społeczności wyłonione i do pilnowania poziomu przyzwitości powołane. Można się zastanawiać nad skutecznością ich działania, można (trzeba) zachęcać do wzmocnienia aktywności, ale nie należy takich gremiów zastępować jakimkolwiek organem urzędniczym.

Zdaję sobie sprawę, że w epoce wielkiej liczebności pracowników nauki, a także studentów, częstsze będą w tym środowisku niegodziwości, trudniejsza kontrola przestrzegania standardów, a wyrazistość standardów mniejsza, co wiąże się z szerszymi procesami kulturowymi. Działania wychowawcze nie zdołają dorównać kroku tym negatywnym zjawiskom, tym bardziej je wyprzedzać, by zapobiec, wyobrażam sobie jednak – znów to powtórzę – że można te działania wzmacniać, czynić atrakcyjnymi, przydać elementu konkurencyjności.

Wolność słowa w, najszerzej traktowanym, świecie akademickim urzeczywistnia się na bardzo dużym i zróżnicowanym obszarze. Nie dałoby się ogarnąć go w całości jakimkolwiek przepisami i jakimkolwiek działaniem kontrolnym, bez ryzyka woluntaryzmu albo krępującej biurokracji. Lepiej zrezygnować.

MAGDALENA BAJER



PRZYSZŁY TYDZIEŃ
W PAU

Konferencje, Sesje, Imprezy...